

Norman Spinrad  
A Thing of Beauty  
COŚ PIĘKNEGO

Niejaki pan Shiburo Ito chce się z panem zobaczyć — usłyszałem z głośnika. — Interesuje go zakup jakiegoś znanego dzieła sztuki.

Zanim wszedł do mojego gabinetu, poprosiłem centralę komputerową, żeby mi wyświetliła na ekranie dyskretnie wbudowanym w tylną ściankę biurka jego okulary. Otóż mój pan Ito był ni mniej, ni więcej tylko panem Ito z firmy SILNIKI RAKIETOWE ITO, Osaka. Sprawdzanie jego wypłacalności w zjednoczeniu banków prywatnych DUN i BRADSTREET nie miałoby najmniejszego sensu. Jeżeli Shiburo Ito z SILNIKÓW RAKIETOWYCH ITO wypisał czek na dowolną sumę, poza pożyczką narodową, można było na nim polegać.

Nieduży, łysiejący mężczyzna, który wpłynął do mojego gabinetu, miał na sobie czerwone jedwabne kimono i bogato ozdobione haftem czarne obi. Oceniając na oko — wspaniała robota

Mendocino. Nie ulegało wątpliwości, że w Japonii, w zatrutej smogiem Osace, pan Ito zadawał

szyku najnowszymi modelami z Savile Row. Wszystko w nim było właśnie takie jak trzeba; dokonywał zakupów nieomylnie, utrzymując się na granicy pomiędzy dobrym smakiem

a ostentacją, z wdziękiem właściwym tylko Japończykom, i to jedynie tym, których pozycja podbudowana jest milionami twardych jenów. Wszystko wskazywało na to, że pan Ito nie okaże

się frajerem. Że dokładnie wie, czego chce, i że nikt nie jest w stanie sprowadzić go z raz obranej

drogi. Typowy japoński biznesmen dużego formatu, klasyczny okaz gatunku, który wyparł nas z

centrum areny międzynarodowej.

Pan Ito wręczając mi swoją wizytówkę skłonił się ledwie dostrzegalnie. W odpowiedzi skinąłem jedynie głową nie wstając z miejsca. Te rozgrywki na miny i gesty mogą się wydawać

śmieszne, ale — bez tego nie sposób załatwić z Japończykiem czegokolwiek.

Siadając naprzeciwko mnie Ita wyciągnął z rękawa kimona czarny rulon i ceremonialnym ruchem położył go przede mną na biurku.

— O ile się nie mylę, jest pan znawca, plakatów Filmore'a z pierwszej potowy lat sześćdziesiątych, panie Harris — powiedział. — Sławo pańskich zbiorów dotarła aż w rejon Osaki

i Kioto, gdzie znajduje się moja siedziba. Niech mi będzie wolno w ten skromny sposób je wzbogacić. Myśl o tym, że mój dar znajdzie się w otoczeniu tak wspaniałym, napawa pańskiego

dozgonnego dłużnika szczęściem.

Ręce mi drżały, kiedy odwijałem plakat. Biorąc pod uwagę możliwości finansowe pana Ito, jego „skromny dar” nie mógł zawieść moich oczekiwań. Mój ojciec z dumą rozwodził się o czasach ogromnych funduszy reprezentacyjnych, złotej erze amerykańskich biznesmenów, ale trzeba przyznać, że japoński styl prowadzenia interesów, z drobnymi upominkami, też ma swoje

uroki.

Kiedy odwinąłem podarek, z najwyższym trudem tylko powstrzymałem się, żeby nie gwizdnąć głośno. Trzymałem bowiem w ręku ni mniej, ni więcej tylko świeżutki, prosto spod prasy, egzemplarz pierwszego plakatu grupy Grateful Dead, utrzymany w subtelnych odcieniach szarości i czerni, okaz bardzo rzadki, nie do kupienia za żadne pieniądze. Nie śmiałem spytać, w jaki sposób pan Ito wszedł w jego posiadanie. Po prostu obaj na moment pogrążyliśmy się w milczeniu, kontemplując plakat, jego piękno i historyczną wartość, przewyższającą wszelkie wątpliwe okoliczności, dzięki którym dane nam było wspólnie go podziwiać.

Jak mógłbym w tej chwili nie lubić pana Ito? I kto może powiedzieć, że Japończycy zawdzięczają swoją obecną pozycję na forum międzynarodowym jedynie potędze ekonomicznej?

— Mam nadzieję, że będę miał okazję zaspokoić pańskie poczucie piękna, tak jak pan zaspokoił moje, panie Ito — powiedziałem w końcu. Tak, tak właśnie należało to ująć. Nie dziękuje się za podobny upominek, tylko nawiązuje do interesów w sposób możliwie zawily.

Ito nagle stał się wyraźnie zakłopotany, nawet speszony.

— Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, panie Harris, ale liczę na to, że pan zechce pomóc mi w rozwiązaniu pewnego problemu rodzinnego delikatnej natury.

— Problemu rodzinnego?

— Właśnie. Zdaję sobie sprawę, że to z mojej strony bezczelność zawracać panu głowę, ale odznacza się pan wyrafinowanym gustem i wielką dyskrecją, jeśli więc wybaczy pan moją śmiałość...

Nagle cała pewność siebie mojego gościa gdzieś się ulotniła, jakby miał zamiar prosić mnie o pośredniczenie w zaspokojeniu jakiegoś odrażającego zбочenia. Odniosłem wrażenie, że cała ta pewność siebie odpływa ku mnie i że za chwilę otworzą się przede mną ogromne możliwości finansowe.

— Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje...

Ito uśmiechnął się nerwowo.

— Moja żona pochodzi z rodziny o wielkich tradycjach kulturalnych — powiedział. — Mówiąc

ściśle, oboje jej rodzice osiągnęli wysoką godność Zasłużonego Twórcy Kultury, o czym nieustannie mi przypominają. Mnie zaś, który odniosłem pewien skromny sukces natury materialnej w branży silników rakietowych, uważają za nikulturi, zwykłego kupca, pozbawionego

całkowicie — w zestawieniu z ich wyrafinowanym smakiem — poczucia estetyki. Czy rozumie

pan moją sytuację, panie Harris?

Skinąłem głową z najwyższym współczuciem, na jakie było mnie stać. Te żółtki rzeczywiście mają talent do komplikowania sobie życia! Oto wielki przemysłowiec robi się maleńki na samą myśl o swoich teściach, dwojgu pasożytach, których z powodzeniem mógłby parę razy kupić za

gotówkę. Jednocześnie ugania się po świecie, żeby w jakiś idiotyczny, zrozumiały tylko dla Japończyka sposób dogodzić tym cholерom. Wydaje mi się, że Japończycy lepiej potrafią

urządzać

świat niż swoje własne życie.

— Panie Harris, chciałbym nabyć jakieś znaczące amerykańskie dzieło sztuki, które by uświetniło moją posiadłość w Kioto. Mówiąc szczerze, musi to być coś na tyle okazałego, żeby

przypominało rodzicom żony o moich możliwościach finansowych, ilekroć zatrzymają na tym wzrok, a ja ze swej strony mogę pana zapewnić, że wyeksponuję ów obiekt w sposób, który dostarczy im po temu jak najwięcej okazji. Jego piękno i wartość historyczna muszą ich przekonać,

że mam gust nie gorszy niż oni. W ten jedynie sposób zyskam ich szacunek i przywrócę spokój

memu ognisku domowemu. Ponieważ słyszałem, że jako doradca w tych sprawach nie ma pan

sobie równego, gotów jestem obejrzeć wszystkie obiekty, które uzna pan za stosowne mi pokazać.

No właśnie! Zamierzał kupić coś dostatecznie okazałego, żeby zaimponowało jego stukniętej

rodzinie, ale ponieważ nie miał zaufania do własnego wyboru, chciał, żebym ja mu polecił coś

odpowiedniego. A przecież ten człowiek pławiał się w morzu jenów jak złota rybka! Nie mogłem

uwierzyć w moje szczęście. Na ile go należało szacować...?

— Jakiej wielkości ma być ten obiekt, panie Ito? — spytałem najobojętniej, jak tylko umiałem.

— Chciałbym, żeby to był jakiś duży okaz amerykańskiej sztuki monumentalnej, tak żebym moje ogrody mógł zamienić w rodzaj sanktuarium na miarę jego piękna i wagi historycznej. Pożądane byłyby więc propozycje klasyczne. Naturalnie musi to być coś godnego takiej oprawy, w

przeciwnym bowiem razie w sposób jakżeż przykry dla mnie jeszcze bardziej straciłbym na prestiżu.

— Oczywiście.

Nie ulegało wątpliwości, że nie będzie to rzecz typu restauracji Howarda Johnsona czy stacji benzynowej. Nawet obiekty typu hotelu Hiltona czy Panteonu Baseballu w Cooperstown, które

opchnąłem w zeszłym roku, wydawały mi się za skromne. W swój zawiły sposób Ito dawał mi da

rozumienia, że cena nie gra najmniejszej roli. Marzenie mojego życia! Frajer z nieograniczonym

kontem bankowym, który ufnie oddaje się w moje troskliwe ręce!

— Jeśli to panu tylko odpowiada — zaproponowałem — od razu możemy obejrzeć kilka obiektów tutaj w Nowym Jorku. Mój skoczek jest na dachu.

— To bardzo miło, że narusza pan dla mnie harmonogram jakżeż pracowitego dnia.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Wystartowałem z dachu, poderwałem skoczka na wysokość tysiąca stóp, a następnie z szybkością 1,5 Macha poleciałem na południe ponad rumowiskiem betonowej dżungli na sam czubek Manhattanu. Zrobiliśmy pętlę i znaleźliśmy się o jakaś milę na północ od Wyspy Bedloe'o.

Opuściłem maszynę na wysokość trzystu stóp. Powolnym lotem zbliżaliśmy się do Statui Wolności, w dalszym ciągu wytracając niedostrzegalnie wysokość, tak że kiedy przekroczyliśmy linię brzegu, znaleźliśmy się akurat w odpowiednim miejscu. Manipulowanie perspektywą tak, żeby pokazać towar z jak najkorzystniejszej strony, sprawiało mi wielką przyjemność: potężny bezgłowy posąg, zielony, pokryty patyną, osmalony od wybuchu bomby, zdawał się wyrastać z wód zatoki niby zrujnowany kolos.

Pan Ito nie zdradzał najmniejszych oznak podniecenia. Patrzył prosto przed siebie przez szybę kabiny, bez słowa czy najmniejszego gestu.

— Pan się z pewnością orientuje, że jest to sławna Statua Wolności — powiedziałem. — Jak większość tego rodzaju obiektów, może zostać zakupiony przez każdego, kto mu zapewni odpowiednio ekspozycję. Naturalnie bez trudu przekonam Biuro Zabytków Narodowych, że w tej sprawie gwarantuję pan najwyższy poziom.

Nastawiłem pilota automatycznego tak, żebyśmy krążyli wokół wyspy w promieniu pięćdziesięciu jardów od brzegu. Chciałem, żeby pan Ito mógł zobaczyć, jak posąg się prezentuje ze wszystkich stron i jak bardzo zasługuje na umieszczenie w sanktuarium. Ale mój klient w dalszym ciągu siedział z miną tandetnego robota.

— Jak pan widzi, posąg jest nie tknięty od czasów, kiedy rebelianci pozbawili go głowy — wyjaśniłem usiłując w maksymalnym stopniu rozbudzić jego zainteresowanie. — W ten sposób

zyskał nową wartość historyczną, która jeszcze przydała mu szacowności. Pomnik będący darem

Francuzów stanowi symbol więzi, jaka łączy rewolucje amerykańską i francuską.

Usytuowany u

wrót portu nowojorskiego, jest zarazem dla wielu pokoleń imigrantów symbolem samej Ameryki.

Zaś uszczerbek, jaki poniósł w czasie insurekcji, przypomina nam tylko, ile mieliśmy szczęścia

wychodząc z tego wszystkiego tak tanim kosztem. No, i poza tym stwarza romantycznie atmosferę

melancholii, nie uważa pan? A więc ma pan wspaniały okaz sztuki monumentalnej łączący w sobie

wartość emocjonalną, historyczną i wewnętrzne piękno. Co zaś do ceny wywoławczej — jest ona

znacznie niższa, niż pan sobie zapewne wyobraża.

Kiedy wreszcie pan Ito się odezwał, robił wrażenie z lekka zakłopotanego.

— Ufam, że wybaczy mi pan to, co powiem, panie Harris, ponieważ moje odczucie wynika z

głębokiego szacunku dla chwalebnej przeszłości pańskiego wielkiego narodu, ale widok tego obiektu wydaje mi się nieco przygnębiający.

— Dlaczegoż to?

Skoczek kończył właśnie pierwsze okrążenie i zaczynał następne, kiedy pan Ito, ze wzrokiem

utkwionym w oleiste wody zatoki, odpowiedział wreszcie na moje pytanie:

— Symbolika tego zrujnowanego posągu jest zasmucająca, przypomina bowiem upadek wielkiego niegdyś narodu. Uważam, że przeniesienie do Kioto i otoczenie czcią takiego pomnika byłoby uczynkiem niegodnym, obrażającym pamięć Amerykanów, aktem zarozumiałstwa i próżności.

No i czy można się tu do czegoś przyczepić? On się czuje obrażony, bo uważa, że wystawienie tego posągu w Japonii byłoby obraźliwe w stosunku do nas, i wobec tego ja oferując mu Statuę Wolności traktuję go jak nikulturi. A tymczasem dla każdego Amerykanina ten cholerny wrak jest po prostu jeszcze jedną pozostałością z czasów świetności, którą może uda się w końcu za bajońską sumę wdusić jednemu z kompletnie zwariowanych na punkcie takich staroci Japończyków. Z nimi naprawdę nigdy nic nie wiadomo. Któż inny poczułby się urażony, gdyby mu powiedzieć, że zrobił coś, co w jego pojęciu mogło cię dotknąć, a co w rzeczywistości jest dla ciebie bez żadnego znaczenia?

— Mam nadzieję, że pana nie obraziłem — wyrwało mi się. Ale powinienem się być raczej ugryźć w język. Trudno było o coś bardziej niewłaściwego. Oczywiście, że go obraziłem, a postawienie go w sytuacji, w której grzeczność wymagała, żeby zaprzeczył, pogorszyło tylko sprawę.

— Jestem przekonany, że był pan jak najdalszy od tego w swoich intencjach — odrzekł Ito z bardzo przekonującą szczerością. — Po prostu chwila smutnej zadumy nad przemijaniem wielkości, nic więcej. Prawdę powiedziawszy, podobne doświadczenie może być pożyteczne dla ducha. W każdym razie nie potrafiłbym znieść stałej obecności takiego obiektu w swoim najbliższym otoczeniu.

Czy pan Ito czuł tak naprawdę, czy była to tylko gładka japońska formułka grzecznościowa? Kto może wiedzieć, co ci ludzie czują naprawdę? Czasami wydaje mi się, że oni sami nie wiedzą.

Tak czy siak, należało znaleźć coś, co by poprawiło mu humor, I to jak najszybciej. Hmmm...

— Niech mi pan powie, panie Ito, czy interesuje się pan baseballlem?

Jego oczy rozbłysły jak dwa reflektory, ciężki nastrój stopniał w ciepłe nagłego, niemal dzieciennego uśmiechu.

— O tak! — odparł. — Abonuję nawet lożę na stadionie w Osace, chociaż muszę się przyznać, że po cichu sprzyjam Gigantom. Jakież to dziwne, że ta wspaniała gra tak podupadła w kraju, w którym wzięła początek.

— To pewne, ale dzięki temu mamy coś, co być może zainteresuje pana jako nabywcę. Wybierzemy się tam?

— Bardzo chętnie — odrzekł pan Ito — zwłaszcza że to miejsce wydaje mi się nieco przygnębiające.

Poderwałem skoczka na wysokość pięciuset stóp i nadstawiłem na szybkość 2,5 Macha z północnym odchyleniem. Szybko zostawiliśmy w tyle wielką miedzianą skorodowaną brudną bryłę. Zdumiewające, jak ckliwie ci Japończycy potrafią się rozczulać nad każdym niemal starym

rupieciem. I to naszym rupieciem w dodatku, jakby sami nie mieli dość swoich. Ale oczywiście

nie powinienem narzekać, mam z tego całkiem niezły kawałek chleba. Każdy zna stare powiedzenie o głupcu i jego pieniądzech.

Tym razem nasza trasa wiodła nad połączeniem rzek Hartem i East River na wysokości tysiąca stóp. Nie obniżając maszyny skierowałem ją na północny wschód, nad Bronx. Ten obszar był przed insurekcją zabudowany gęsto domami mieszkalnymi i mocno ucierpiał od bomb zapalających, materiałów wybuchowych i napalmu. Uznano, że uprzątnięcie ciągnącego się milami rumowiska byłoby nieopłacalne, i teraz zrytą ziemię i ruiny budynków porastała wysoka trawa, trujący sumak, gęszcz krzewów i rozrzucone tu i ówdzie kępy drzew, które w ciągu jednego czy dwóch pokoleń mogły się zamienić w las. Nierówny, zachwaszczony teren był właściwie zupełnie bezużyteczny i nie zamieszkały, jeśli nie liczyć żałosnych niedobitków komun hippisowskich, żyjących w całkowitej izolacji i nie zasługujących na to, żeby się nimi zajmować. Ich prymitywne szałas i własnoręcznie klecone namioty stanowiły jedyny przejaw ludzkiej obecności w tym rejonie. Było to miejsce rzeczywiście przygnębiające i zależało mi na tym, żeby zabrać stąd pana Ito jak najprędzej.

Na szczęście nasz cel leżał blisko (w ciągu paru minut znaleźliśmy się na wysokości pięciuset

stóp nad jedynym naprawdę nie tkniętym obiektem w tej okolicy. Kamienną twarz pana Ito rozjaśnił tak szczery chłopięcy uśmiech, że nie ulegało dla mnie wątpliwości: trafiłem w dziesiątkę. Miałem rację uważając, że czemuś takiemu Ito się nie oprze.

— Stadion Jankesów! — wykrzyknął.

Starożytny stadion wyszedł z insurekcji obronną ręką — poczerniał tylko trochę i betonowe ściany zostały od zewnątrz podziurawione. Wszystko dokoła było prawie całkowicie zdemolowane, poza niewielkim odcinkiem linii kolei naziemnej, która przypominała rudy od rdzy

szkielet, pokryty tu i ówdzie kożuchem pnączy i mchów. Okoliczne ruiny — potężne sterty gruzu,

budynki z poćcinanymi wierzchołkami, pordzewiałe czołgi — wszystko to razem tworzyło porośnięte gęszczem bujnej roślinności podgórze, pośród którego niby szczyt wznosił się stadion,

również zielony od pnączy i dzikiego wina i częściowo wtopiony w dżunglę krajobrazu.

Biuro Zabytków Narodowych otoczyło stadion wysokim parkanem, zwieńczonym drutem kolczastym pod napięciem, co miało uniemożliwić dostęp wałęsającym się tu gromadom hippisów. W odległości piętnastu stóp od parkanu strażnik uzbrojony w siekacz produkcji japońskiej krążył wokół stadionu na jednoosobowym ślizgaczu. Zeszliśmy na wysokość pięćdziesięciu stóp i oblecieliśmy stadion pięć razy, żeby oczarowany Ito miał czas się za

stanowić i dobrze sobie wyobrazić, jak wspaniale ten obiekt zdołałby jego ogrody, zamiast niszczyć między

nędnymi ruinami. Strażnik machał do nas za każdym razem, kiedy nasze drogi się krzyżowały, i

nic dziwnego, siedzenie na tym pustkowiu, gdzie mógł liczyć jedynie na towarzystwo zwariowanych koczujących hippisów, musiało być beznadziejnie nużące.

— Czy możemy wejść do środka? — zapytał Ito z wielkim namaszczeniem. Rany, ale go

wzięło! Promieniał jak matę dziecko, które ma odziedziczyć sklep ze słodyczami.

— Naturalnie — odparłem. Przetawiałem skoczka, który był zaprogramowany na krążenie, tak że przelecieliśmy powoli nad krawędzią stadionu, a następnie zatrzymałem go w powietrzu na wysokości dachu nad tym, co było kiedyś płytą stadionu. Bardzo powoli opuściłem maszynę, aż wreszcie usiedliśmy w kępie wysokiej trawy, krzewów i rzadkich karłowatych drzew na dawnym boisku.

Przypominało to lądowanie we wnętrzu wielkiej pozbawionej dachu katedry. Dokoła otaczały nas niesamowite w swoim przebrzmiałym majestacie, trzypoziomowe, podobne do katakumb trybuny; spróchniałe drewniane siedzenia porośnięte grubo mchem i grzybami, wielkie zwisające

krokwie, kryjące w swoich głębokich, ponurych cieniach stada rozświergotanych ptaków.

Kiedy lądowaliśmy, Ito dosłownie podskakiwał z podniecenia na swoim siedzeniu.

— Cudo! — westchnął. — Co za wartość zabytkowa, co za szacowność. Ach, panie Morris, jakich wspaniałych czynów dokonywano na Stadionie Jankesów w dawnych czasach! Czy możemy dotknąć stopami tego historycznego boiska?

— Oczywiście, panie Ito. — Było to coś wspaniałego. Nie musiałem nic mówić; sam sobie lepiej zachwalał to stare omszałe rumowisko, niż ja bym potrafił.

Wysiedliśmy ze skoczka i błędzieliśmy w gąszczu bujnej roślinności, a nad naszymi głowami unosiły się roje sparszywiących gołębi. Ogrom i pustka tego miejsca nadawały mu atmosferę dziwnego mistycyzmu, jakby to były ruiny starożytnej Grecji czy Stonehenge, a nie dawny stadion

baseballowy. Trybuny pełne były duchów przeszłości, a w ciemnych, pustych lochach pobrzmiwały echa wielkich wydarzeń.

Jak się okazało, pan Ito wiedział więcej na temat Stadionu Jankesów, niż ja kiedykolwiek wiedziałem, czy nawet chciałbym wiedzieć. Oprowadzał mnie po nim uroczystym, odmierzonym

krokiem, zanudzając na śmierć „zwiedzaniem historycznego obiektu”.

— Tutaj Al Gionfrido w czasie Mistrzostw Świata obronił nieprawdopodobną piłkę zatrzymując wielkiego DiMaggio — powiedział, kiedy doszliśmy do wysokiego wałacego się czarnego muru, który otaczał otwarte trybuny. Odczytaliśmy wyblakły numer 405. Poszliśmy dalej

wzdłuż półkolistego biegnącego omszałego muru aż do numeru 457 po lewej stronie. Sterczały tutaj

niby nagrobki trzy kamienne słupki, a za nimi, w murze, pięć miedzianych tabliczek, tak pozieleniałych od patyny, że prawie nieczytelnych. Cholera, rzeczywiście nasi musieli dawniej

mieć takiego samego fioła na tym punkcie, jak dziś Japończycy.

— Tablice pamiątkowe ku czci wielkich bohaterów nowojorskiej drużyny Jankesów — wyjaśnił Ito. — Legendarny Ruth, Gehrig, DiMaggio, Mantle... O. dokładnie w tym miejscu Mickey Mantle posłał piłkę w otwarte trybuny, wyczyn, który przez pół wieku uważano za niemożliwy... Ach...

I tak dalej, i tak dalej. Ito przedzierał się przez gęste zarośla boiska, którego każdy metr kwadratowy obfitował dla niego w wydarzenia historyczne niezwyklej wagi. W tym miejscu Babę

Ruth po raz sześćdziesiąty dobiegł do bazy; tutaj Roger Maris pobił po latach jego rekord; tam

Mantle posłał piłkę tak, że niemal przeleciała ponad krytą trybuno. Zdumiewające, ile tych faktów znał i jak wielkie miały one dla niego znaczenie. Nasz obchód ciągnął się bez końca. Zwariowałbym chyba z nudów, gdyby nie kojąca pewność, że mam już ten obiekt sprzedany. Kiedy więc Ito oddawał się swemu romansowi ze Stadionem Jankesów, ja zabijałem czas licząc w myśli jeny. Szacowałem, że uda mi się wycisnąć z niego jakieś dziesięć milionów, a to znaczyło, że moja prowizja wyniesie okragły milion. Mając przed oczyma takie sumy, które już widziałem na swoim koncie, mogłem spokojnie, a nawet z uśmiechem znosić dwugodzinny bełkot na temat biegów do bazy słynnych rzutów i tak dalej.

Było późne popołudnie, kiedy wreszcie Ito nasycił się i pozwolił odprowadzić się do skoczka.

Uznałem, że czas najwyższy przystąpić do rzeczy. Mój klient był świeżo pod wrażeniem obejrzanego obiektu i czułem, że pójdzie mi łatwo.

— Z przyjemnością obserwowałem, jak ciepłe uczucia żywi pan dla tego pięknego i szacownego stadionu, panie Ito — zacząłem. — Jestem gotów bez zwłoki załatwić przeniesienie na pana tytułu własności.

Ito drgnął, jak gdyby zbudzony nagle z jakiegoś przyjemnego snu. Spuścił oczy i skłonił się ledwie dostrzegalnie.

— Niestety — powiedział ze smutkiem. — Chociaż umieszczenie szlachetnego Stadionu Jankesów w sanktuarium moich prywatnych ogrodów ucieszyłoby mnie ponad wszelki wyraz, obawiam się, że takie dogadzanie sobie pogłębiłoby tylko moje domowe kłopoty. Rodzice mojej żony uważają w swej ignorancji piękny sport baseballu za barbarzyński zwyczaj importowany z

Ameryki. Moja żona, o zgrozo, podziela tę opinię i bardzo często gani mnie za mój entuzjazm dla tej gry. Gdybym zakupił Stadion Jankesów, stałbym się pośmiewiskiem we własnym domu, a moje życie przypominałoby jedno pasmo cierpień.

Macie pojęcie?! Ten bezczelny mały skurwysyn zajął mi dwie godziny cennego czasu — włączył mnie po tych idiotycznych kupach gruzu, wygadując bzdury i doprowadzając mnie do

szalu, a przecież cały czas wiedział, że nie kupi stadionu! Miałem ochotę dać temu pokurczowi w

zęby, ale ponieważ pamiętałem o jego jenach, na które miałem jeszcze nadzieję, zapanowałem nad

sobą. Uśmiechnąłem się ze współczuciem, westchnąłem rzewnie, z żalem, i wymamrotałem:

— Szkoda.

— Jednakże — dodał Ito skwapliwie — wspomnienie tej wycieczki na zawsze zachowam w pamięci. Jestem panu głęboko zobowiązany, panie Morris, za to doświadczenie. Choćby już z tego powodu moja podróż z Kioto opłaciła mi się stokrotnie.

I tak mi właściwie załatwił cały dzień.

Byłem w prawdziwym kłopotcie: o mały włos nie zmarnowałem największej szansy, jaka mi się



w życiu trafiła. Pokazałem mu dwa najwspanialsze obiekty na moim terytorium i wiedziałem, że

jeśli nie znajdzie, czego szuka, na północnym wschodzie, ma przecież do wyboru do koloru wspaniałości w pozostałej części kraju — na przykład takie perły jak słynna Brama w St. Louis,

Matterhorn z Disneylandu, Mormońskie Tabernakulum z Salt Lake City, i że całe rzesze pośredników tylko czekają, żeby zagarnąć tłuste prowizje.

Uznałem, że mogę spróbować jeszcze jednego, zanim Ito zacznie się rozglądać za czymś innym: miałem na myśli kompleks budynków Organizacji Narodów Zjednoczonych. Narody Zjednoczone znalazły się w skomplikowanej sytuacji prawnej. Zachowały wprawdzie tytuł własności do budynków, kiedy zlikwidowały swoją siedzibę w Nowym Jorku, ale kiedy organizację rozwiązano, stan Nowy Jork, miasto Nowy Jork i rząd federalny, nie mówiąc już o

zagranicznych wierzycielach, zgłosiły swoje roszczenia. Biuro Zabytków Narodowych nie miało

wprawdzie wyraźnego tytułu własności, ale sprawowało pieczę nad tym obiektem z ramienia rządu

federalnego, (gdybym zdołał dawną siedzibę ONZ wkleić panu Ito, Biuro Zabytków Narodowych

bardzo skwapliwie zainkasowałyby jego czek, a potem niech już sobie inni łamią głowę, jak tę

forse od nich wyciągnąć. Nie ulegało wątpliwości, że po przeniesieniu budynków do Kioto rząd

japoński nie dopuści do tego, żeby ktokolwiek inny rościł sobie prawa do czegoś, na co jeden z ich

największych rekinów przemysłowych wywalił ciężką forse.

Poderwałem więc skoczka i z szybkością 1,7 Macha wznieśliśmy się na wysokość trzystu stóp

ponad oleistymi wodami East River. Zawisliśmy w powietrzu w odpowiedniej odległości na wschód od kompleksu budynków Organizacji Narodów Zjednoczonych na Czterdziestej Drugiej

Ulicy. O tej porze dnia i z tego miejsca przedstawiały one — tak się łudziłem przynajmniej — romantyczny widok w japońskim stylu. Sekretariat wylaniał się z wiecznych szarych oparów wiszących nad Manhattanem niby gigantyczny grobowiec ze szkła, którego masywną sylwetkę

rysowało ostro zachodzące słońce. Łagodna kopuła stojącego obok Zgromadzenia Ogólnego nadawała całemu zespołowi wrażenie czystości linii i harmonii architektonicznej.

Przypominało to

jedną ze starożytnych japońskich Bram Tori podświetlonych zachodzącym słońcem, tyle że na

znacznie większą skalę.

Siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych wyszła cało z insurekcji, rebelianci bowiem okazali jej dziwne względy, a znad rzeki nie było widać niechlujnego targowiska, które się rozsiało na dziedzińcu, ani podejrzanych barów wzdłuż Pierwszej Alei. Na szczęście Biuro Zabytków Narodowych utrzymywało same budynki w dobrym stanie wychodząc z założenia, że w

przeciwnym razie prawo własności rządu federalnego mogłoby zostać zakwestionowane.

Kiedy lecieliśmy nad rzeką powoli, cały czas trzymając się wysokości trzystu stóp, zacząłem moją zwykłą śpiewkę:

— Przed panem, panie Ito, wznoszą się budynki Narodów Zjednoczonych, smutny symbol

jednej z najszlachetniejszych wizji człowieka, teraz niestety opuszczone, pomnik żalostnego końca tej wspaniałej organizacji.

Nastawiłem skoczka na krążenie, tak żebyśmy mogli podziwiać refleksy zachodzącego słońca, które najpierw odbijały się od wody, a następnie padały na setki okien Sekretariatu migocząc na szklanym monolicie. Kiedy zbliżyliśmy się do budynku od strony zachodniej, wielka tafla fasady płonęła purpurą ognia.

— Gmach Sekretariatu można by tak usytuować w pańskim ogrodzie, panie Ito, żeby chwycił zarówno promienie wschodzącego, jak i zachodzącego słońca — powiedziałem. — Jest uważany za jeden z najwspanialszych okazów budownictwa użytkowego dwudziestego wieku, a ponadto niech pan spojrzy, w jak doskonałym znajduje się stanie.

Ito nie odezwał się słowem. Nawet nie mrugnął okiem. Mięśnie jego twarzy były nieruchome, jakby zastygły w nienaturalną drewnianą maskę. Skoczek znów znalazł się za Sekretariatem, przesłaniając zarówno słońce, jak i jego ogromne odbicie. Pod sobą mieliśmy szary betonowy dach

Zgromadzenia Ogólnego.

...No i oczywiście historyczna rola tych budynków, choć może nieco tragiczna, jest przecież ogromna... Pan Ito przerwał mi nagle lodowatym tonem;

— Proszę mi wybaczyć moją niedelikatność, panie Harris, polegającą na wyrażaniu własnych

poglądów politycznych, ale wydaje mi się, że moja szczerość oszczędzi panu cennego czasu i wysiłku, a mnie wybawi z niezręcznej sytuacji.

Nagle stał się panem Shiburo Ito z SILNIKÓW RAKIETOWYCH ITO, Osaka, jednym z ludzi, którzy kształtują gospodarkę najpotężniejszego narodu na świecie — i właśnie dawał mi to odczuć.

— Szanuję pański ciepły stosunek do byłej Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale go nie podzielam. Chciałbym panu przypomnieć, że Narody Zjednoczone powstały jako organizacja, która upokorzyła Japonię głęboko w wojnie wyjątkowo nieprzyjemnej, a przestały istnieć jako

klótniwy związek zubożałych, żebraczych krajów, połączonych jedynie wspólnym hańbiącym celem wyłudzenia ciągłych świadczeń od państw znacznie bardziej rozwiniętych, samodzielnych,

postępowych i szlachetnych, na czele z Japonią. Z prawdziwym więc żalem muszę stwierdzić, że

widok tych budynków napawa mnie niesmakiem, aczkolwiek obiektywnie rzecz biorąc, jako przedmioty abstrakcyjne posiadają może nawet jakieś wewnętrzne piękno.

Twarz pana Ito przypominała lśniąca maskę, a on sam wydawał się odległy o tysiące mil.

Był

tak bliski wściekłości, jak tylko może być bliski wściekłości taki nadziany Japoniec; musiał się

dosłownie w środku gotować. Do diabła, skąd miałem wiedzieć, że Organizacja Narodów

Zjednoczonych ma dla niego tak koszmarną polityczno wymowę. O ile ja się orientuję, od lat nikt

ONZ—tu nie traktował poważnie. Uważano go jedynie za infantylną romantyczną ideę, kompletnie

zbankrutowano i wyznawaną jedynie przez kraje trzeciego świata. Trzeba było mojego zakichanego szczęścia, żeby się napatoczyć na jednego z tych nielicznych ludzi na świecie, w których świadomości ona jeszcze funkcjonowała.

— Pan musi być bardzo zmęczony, panie Harris — powiedział Ito zimno. — Nie będę pana dłużej absorbował. Najlepiej wracajmy do pańskiego biura. Gdyby pan miał mi do pokazania jakiegoś dalsze obiekty, możemy się umówić w innym dogodnym dla nas obu terminie.

I cóż ja mogłem na to powiedzieć? Nie tylko dotknąłem go do żywego, ale jeszcze nie miałem

mu nic do zaoferowania. Nastawiłem skoczka na wysokość pięciuset stóp i poleciliśmy spokojną

setką przez rzekę w kierunku centrum miasta. Żywiłem niczym nie uzasadnioną nadzieję, że mimo

wszystko przyjdzie mi do głowy coś genialnego, co uratuje tę milionową transakcję, zanim znajdziemy się u mnie w biurze i zanim ta gruba ryba ze szczerego złota na zawsze wymknie mi się

z rak.

W drodze do śródmieścia Ito patrzył obojętnie na posępne wysokie bloki mieszkalne ciągnące

się pod nami wzdłuż wybrzeża Manhattanu, nie zniżając się do rozmowy ze mną, nawet nie dostrzegając mojej skromnej obecności. Jaskrawopomarańczowe światło, które wlewało się do

kabiny, zamieniło jego okrągłą twarz we wschodzące słońce żywcem wzięte z japońskiej flagi.

Bardzo zresztą stosownie — ten cholerny sukinsyn był akurat wypisz wymaluj jak jego ukochana

ojczyzna: drażliwy na punkcie politycznym, ugrzeczniony gbur z kompleksem wyższości ekonomicznej, o wysoce wyrafinowanej wrażliwości na piękno, w niezrozumiały sposób potoczony z chomikarską zachłannością na nasze najbardziej beznadziejne starocie. To był wyniosły i zadzierał nosa, to znów zachowywał się jak dziecinnie naiwny frajer. Od lat handluję z

Japończykami, ale muszę się przyznać, że ich właściwie w dalszym ciągu nie rozumiem. Szukam

jedynie po omacku, usiłując odgadnąć, co się tam w nich w środku dzieje i ufając w Boga, że akurat trafię. No i właśnie tym razem, mając przed oczami milion jenów, ni mniej, ni więcej tylko

trzy razy spudłowałem. Wracałem do siebie upokorzony, z niezadowolonym klientem, którego

cała postawa zdawała się mówić, że ja jestem głupi cymbał, a on — pan stworzenia I

— Panie Harris! Panie Harris! Niech no pan patrzy, tam! Co za wspaniała konstrukcja! — Ito

niemal krzyczał; oczy płonęły mu podnieceniem i autentycznie się uśmiechał, wskazując na południe wzdłuż East River.

Wybrzeże po stronie Manhattanu całe było zabudowane najohydniejszym osiedlem mieszkaniowym, jakie tylko można sobie wyobrazić. Brzeg brooklyński przedstawiał się jeszcze

gorzej — był to jeden z ogromnych, rozległych tak zwanych ośrodków przemysłowych: niskie, pozbawione okien budynki, magazyny, przystanie i kilka stanowisk startowych rakiet towarowych. Z tego wszystkiego wyróżniał się tylko jeden obiekt i tylko ten jeden Ito mógł mieć na myśli: konstrukcję łączącą osiedle mieszkaniowe na Manhattanie z ośrodkiem przemysłowym po stronie Brooklynu. Pan Ito pokazywał Most Brooklyński.

— To znaczy... hm... ma pan na myśli most? — tylko tyle zdołałem wyjąkać zachowując powagę. O ile się nie mylę, historyczna rola Mostu Brooklyńskiego polegała jedynie na tym, że

stanowił on przedmiot całej serii dowcipów, tak starych, że przestały już kogokolwiek śmieszyć.

Był osławionym obiektem, który wytrawni oszuści z różnych komedijek tradycyjnie sprzedawali

naiwnym turystom zagranicznym — zwanym frajerami i jeleniami — razem z nie istniejącymi

kopalniami uranu i połączanymi cegłami.

Nie mogłem się więc powstrzymać i spytałem:

— Pan chce kupić Most Brooklyński, panie Ito? — Sytuacja była naprawdę cudowna; najpierw

Ito upokorzył mnie maksymalnie, dając mi odczuć swoją wyższość, teraz zaś z kolei ja mówiłem

mu niemal w oczy, że jest idiotą, a on nawet o tym nie wiedział. Ba! — żeby tylko. Ale on jeszcze

skwapliwie kiwał głową w odpowiedzi, jak prostaczek ze starego kawału.

— Tak, to właśnie miałem na myśli. Czy ten most jest na sprzedaż?

Zwolniłem szybkość do czterdziestu, zszedłem na wysokość stu stóp i z najwyższym trudem tłumilem chichot w miarę, jak zbliżaliśmy się do tej koszarnej ruiny. Zardzewiałe liny, na których wisiała konstrukcja, zamocowane były do dwóch masywnych, przysadzistych kamiennych

wież. Od lat dzięki wynalazkowi skoczka most był bezużyteczny, nikt go więc nie konserwował,

ale i nikt nie zadał sobie trudu, żeby go rozebrać. W miejscu, gdzie wielkie bloki ciemnoszarego

kamienia dotykały wody, otaczał je pierścień zgniętego zielonego szlamu. Wszystko zaś powyżej

pokrywała stuletnia chyba, biała warstwa ptasiego guana.

Trudno było uwierzyć, że Ito mówi serio. Most był starym, brudnym, zmurszałym, cuchnącym

ohydzstwem. Krótko mówiąc, był tym, na co Ito jako klient sobie zasłużył.

— Tak, oczywiście, panie Ito — odparłem. — Mogę panu sprzedać Most Brooklyński.

Zatrzymałem skoczka w powietrzu, w odległości jakichś stu stóp od jednej z obrzydliwych wież. W miejscach, gdzie kamień nie był oblepiony odchodami mew, pokrywała go na cał gruba

warstwa sadzy. Nawierzchnia jezdni cała była potrzaskana, pełna wyrw, wybrukowana odpadkami, starymi skorupami i ptasim łajnem; most od dziesiątków lat musiał służyć mewom za

łęgowisko. Gratulowałem sobie, że skoczek jest hermetyczny — smród musiał być niesamowity.

— Coś wspaniałego! — wykrzyknął pan Ito. — Jest naprawdę uroczy, nie uważa pan? Kupuję Most Brooklyński!

— Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek bardziej od pana zasługiwał na ten zaszczyt — powiedziałem z całym przekonaniem.

Mniej więcej w cztery miesiące po tym, jak ostatni element Mostu Brooklyńskiego został przetransportowany do Kioto, dostałem od pana Shiburo Ito dwie przesyłki. Jedną z nich była koperta zawierająca minikasetę i slajd holograficzny, drugą — ciężka paczka wielkości pudełka na buty, zawinięta w błękitny papier ryżowy.

Wspominając pana Ito znacznie czulej teraz, kiedy miałem na koncie milion jego jenów, włożyłem kasetę do playbacku i nie zdziwiłem się specjalnie, kiedy usłyszałem jego głos.

— „Pozwalam sobie przesłać panu moje serdeczne pozdrowienia, panie Harris, wraz z gorącym podziękowaniem za dopilnowanie wysyłki Mostu Brooklyńskiego do mojej posiadłości. Odpowiednio wyeksponowany, dostarcza nam wszystkim wielu estetycznych wzruszeń, nie mówiąc o tym, jak ogromnie przyczynił się do przywrócenia spokoju w moim ognisku domowym. Przesyłam panu też holograficzny slajd, na którym zostało uwiecznione sanktuarium. Zechce pan również przyjąć skromny dowód mego uznania w tym samym, mam nadzieję, duchu, w jakim został ofiarowany. Sayonara”.

Nie mogąc opanować ciekawości, natychmiast zerwałem się i wyświetliłem przezrocze na ścianie. Oczom moim ukazała się gęsto zalesiona góra, z której sterczały dwa surowe, nagie szczyty. Głębokim jarem pomiędzy wierchołkami z nieopisanym wdziękiem spływała kaskadą do

płytkiego jeziora u stóp góry woda. Tam rozbijając się o płaską skałę podłoża tworzyła scenię

jakby żywcem wziętą z chińskiego malowidła. Rozsnuty nad samym wodospadem niby pajęczyna

widniał Most Brooklyński, który spinał oba brzegi kanionu. Wparła kamiennymi słupami w skaliste krawędzie przepaści niezgrabna, ciężka konstrukcja nabrała w perspektywie rozległego

krajobrazu lekkości i wdzięku. Kamień został oczyszczony i lśnił teraz mokrym połyskiem; liny i

nawierzchnię oplatały bujne zielone pnącza. Zdjęcie zostało zrobione wieczorem w momencie,

kiedy słońce zachodziło pomiędzy dwoma bliźniaczymi szczytami obrysowując ich kontury płomiennie pomarańczową linią i barwiąc miedziane obłoki unoszących się z dołu mgieł, które

strzelały pióropuszcami kolorowych ogni.

Było to coś bardzo pięknego.

Upłynęło sporo czasu, zanim zdołałem oderwać wzrok od tej sceny, przypominając sobie o drugiej przesyłce pana Ito.

Błękitny papier krył pojedynczą złotą cegłą. Wytrzeszczyłem oczy. Roześmiałem się. Spojrzałem jeszcze raz.

Na pierwszy rzut oka wyglądała zupełnie jak stara cegła pokryta złotą farbą. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Była to bowiem cegła odlana ze szczerego złota, kopia oryginalnej, wierna w

każdym szczególe.

Wiem, że pan Ito chciał mi coś przez to powiedzieć, ale do dziś nie mam zielonego pojęcia co.

Tłum. Zofia Uhrynowska